

ROZMAITOSTCI.



Dnia 15 listopada,

N^o 46.

roku 1845.

Opustoszały park.

W jedném z zachodnich hrabstw angielskich stoi dotąd dwór starożytny, o którym dziwne biegają wieści. Było naprzód zamożne opactwo, lecz mieszkańcy jego zostali za czasów Henryka VIIIgo wyrugowani, a cała majątność przypadła w darze pewnemu ulubieńcowi królewskiemu. Potomkowie nowego dziedzica zamieszkali tylko jedno skrzydło rozległego budynku, a reszta, jakto mianowicie kościół klasztorny, została opuszczona. Zczasem porosły te stare, rozsypujące się mury dzikim bluszczem, który im wcale romantycznego dodawał wdzięku. Za swego terażniejszego zaś właściciela, lorda T., zamienił się cały dwór w prawdziwą, wielką ruinę. Pałac, przyboczne zabudowania, park, wszystko — prócz starannie pielęgnowanego ogrodu z kwiatami — pustoszało coraz widoczniej. O samym lordzie krążyły także osobliwe pogłoski. Ojciec jego zostawił mu cały majątek w najlepszym stanie, lecz młody lord zjawił się dopiero po kilku latach na zamku. Uganiał on się przed przybyciem swoim po Francyi, Włoszech, Niemczech, i wiódł tam, jak powiadają, nie bardzo przykładne życie. Gdy więc nagle z młodą i piękną żoną — Francuzką, jak słyhać było — do rodzinnego domu powrócił, gdy stary, samotny dotychczas dwór, naraz nieustannemi zaczął brzmieć gody, i ani na chwilę od tłumu wesołych gości nie był wolny, mniemano powszechnie, iż to huczne, wystawne życie coraz świetniej wzmagać się będzie. Aż tu nagle wszystko się odmie-

niło. Chociaż wszyscy utrzymywali, iż lord i lady w najtkliwszej żyją miłości, chociaż narodzenie się im córki jeszcze ściślej ten piękny węzeł spajało — gruchnęła naraz wiadomość, iż milady z jakimś kochankiem zbiegła. I tak też było w istocie. Lady T. zniknęła bez śladu. Lord omało życiem tego ciosu nie przeplacił. Zapadł w niebezpieczną chorobę, i nie powstał z łoża aż po kilku miesiącach. Wyzdrowiawszy zaś, stał się odtąd wcale innym człowiekiem. Z wesołego, rozpustnego wietrznika, zamienił się w tetryka, mizantropa. Nie bywał nigdzie w sąsiedztwie, nie przyjmował nikogo u siebie, a wkrótce oprócz służących, nie ujrzałbyś był żywej duszy na zamku. Lecz i sam lord rzadko kiedy się okazywał. Jeżeli mu zdrowie dozwalało, wychodził czasami w najodleglejsze ustrońia parku i trawił tam dnie całe na osobności; lecz gdy w późniejszych latach podagra dojmować mu zaczęła, zaniechał i tych przechadzek. Natenczas siadywał ciągle w małym pokoiku, przy otwartym oknie, wychodzącym na ogród, i wlepiął oczy niemo w pobliską okolicę, która niegdyś poza obrębem ogrodu leżała, teraz zaś za wyraźnym rozkazem lorda z parkiem złączoną była. To niuustanne przesiadywanie u okna, którego ani słoty, ani mrozy nie przerywały, zdało się tém dziwniejszém, iż owa okolica parku, właśnie do jego najmniej powabnych ustępów należała. W głębi małej, jednostajnej dolinki widać było kąt zasłoniętego na uboczu lasku, i stary, wystający zeń dąb, u stóp którego, w cieniu rozłożystych konarów, stała kamien-

na, omszona ławka. Jeżeli czasem kilka sarn lub jeleni z przyległego zwiérzyńca na dolinę nie wyszło, był z tej strony widok tak jednostajny i nudny, iż trudno było pojąć, z kąd lord mógł w nim mieć upodobanie. Lecz jeszcze bardziej zadziwiał sposób wychowania jego córki. Klotylda była jedynaczką, a przeto bardzo posażną panną; przytém słynęła w okolicy z niezwyčajnej piękności; ztém-wszystkiém wychowanie jój było tak zaniedbane, iż jak mówiono, ledwie czytać i pisać umiała. Jedyną nauczycielką i dozorczynią Klotyldy była pewna stara kobieta, prowadząca gospodarstwo we dworze. Wszakże nie byłoto ani śkapstwo ani nieprzywiązanie do córki, co lorda do tak rażącego zaniedbania jój umysłu powodowało; gdyż jedyne słówko z ust Klotyldy było zazwyczaj dostateczne do uzyskania znacznego nieraz wsparcia dla niejednej ubogiej rodziny, podczas gdy przecież nigdy jeszcze o tём nie słyszano, aby ktoś pół szeląga otrzymał, jeżeli się do samegoż lorda wprost udał. Oprócz tego wiedzieli wszyscy, że gdy Klotylda podrósłszy, osobliwsze zamiłowanie w kwiatach okazywała, lord T. jedynie dla przyjemności swojej córki, starą, od czterdziestu lat opustoszałą oranżeryję na nowo wyporządzić rozkazał, a nawet osobnego ogrodnika, do odnowienia zapuszczonego kwietnego ogrodu ze stolicy zapisał. Przy tak niezwyčajnym sposobie życia nie mogło oczywiście obejść się, aby o lordzie, jego córce, i wszystkiém, co się w zamku T. działo i nie działo, najsprzeczniejszych wieści nie rozsiewano. Główném źródłem tych ciekawych pogłosek byli dwaj niedalecy znajomi — Mr. Nicholas Reid, adwokat z pobliskiego miasteczka, stary, ponury i mało mowny człowiek, który, jak słyhać było, jedynie dla tych przymiotów zaufanie i zarząd interesów lorda pozyskał; drugi — Mr. Thomas Burnes, najbliższy sąsiad lorda. Toż najbliższe sąsiedztwo nie byłoby jeszcze do zapoznania się z lordem T. wystarczyło, lecz miał on zapewne jeszcze inne zalecające przymioty, gdyż był jedynym człowiekiem w okoli-

cy, a może w całym świecie, z którym lord T. chciał się widzieć, skoro on w zamku się okazał. Zresztą miał sir Burnes bardzo dwuznaczną sławę. Uchodził on za obłudnego, śkapego i rozwiązłego człowieka. Przytém był uciążliwym dla swoich sług i dzierżawców, a dumnym i surowym dla podrzędnych. Mimo to wszystko żył lord T. z nim w pewnym stosunku przyjaźni, i gdzie tego potrzeba wymagała, wyręczał się jego zastępstwem. Tylko w rzeczywiście prawniczych interesach używał on adwokata Reid, który właśnie w tej chwili z lordem, w owym małym pokoiku siedział, i za dyktowaniem lorda, następująco słowa, pisał:

»Po czternaste: żądam, aby mię po śmierci zupełnie ubranego na krześle u okna w małym niebieskim pokoiku, w którym zwykły byłem bawić, posadzono, tamże okno otwarto, i drzwi od pokoju zamurowano —«

»Zamurowano —« ozwał się adwokat obojętnie po napisaniu.

Lord zatrzymał się na chwilę, a potem rzekł: »To ostatnie rozporządzenie testamentu będzie się wam zapewne śmiészniem wydawać —«

»Zapewne, milordzie —« odpowiedział prawnik z zwyčajną spokojnością umysłu.

»Powiećcie, żem waryjat —«

»Ja tego nie powiem milordzie, lecz inni ludzie.«

»Mniejsza o to co ludzie o mnie powiedzą, ale radbym aby moja córka wiedziała, co mię do tego osobliwszego rozporządzenia nakłoniło. — A przecież —« dodał lord ponuro — »nie chcę o tём mówić z Klotyldą. Gdybym jój zaczął opowiadać o matce, wtedy wszystkie gady w mej piersi, które teraz kryją się tam uspione, przebudziłyby się nanowo, a ponieważ Klotylda tak mocno podobną jest do matki, zdaje mi się, iżbym wtedy ją samę kochać zaprzestał. Ztém-wszystkiém mogą się zdarzyć wypadki, gdzieby moja córka historję swojej matki wiedzieć potrzebowała, a zatem opowiem ci ją pokrótce. Stosownie do okoliczności, zrobisz z niej

kiedys użytek, lub też ją wcale zamilczysz.»

Adwokat kiwnął głową w znak przyzwolenia, a lord T. zaczął:

»Wiadomo jest, iż za życia mojego ojca, udałem się na długo w podróż. Nawąsawszy się po wszystkich krajach, uwiązałem w rozpustnym Paryżu, który mnie swojemi wdziękami, rozrywkami, a nawet swoim zepsuciem, tak dalece osidlił, że mnie i śmierć ojca w moim szale rozpusty opamiętać nie mogła. Opamiętał mię przecież widok pięknej, niewinnej, modlącej się dziewczicy. Przypadkiem zabłąkałem się pewnego wieczora na cmentarz ojca La-Chaise. Tam u świętej mogiły ujrzałem jakąś kobięcą postać klęczącą. Była to moja Adelaida, moja żona. Zalana łzami, modliła się na grobie ojca, który ją z matką bez wszelkiej pomocy, w ostatniej nędzy zostawił. Przy stąpiłem z uszanowaniem do niej, i okazując jej szczerý udział, zacząłem z nią rozmawiać. Śród tak rzewnych okoliczności zawiązała się nasza znajomość. Znalazłem w Adelaidzie dziewczynę niezwyuczajnych darów umysłu i wysokiego ukształcenia. Zmuszona do pracowania na siebie i na matkę, miała właśnie przyjąć obowiązek wychowawczyni w głębokiej Rosyi, i miała rozstać się ze mną. Lecz już kochałem ją szalenie, i zamiast do Rosyi, wyjechała ze mną, swoim mężem, do Anglii. Byliśmy uszczęśliwieni.«

Tu dało się słyszeć głębokie westchnienie, wydzierające się z głębi duszy opowiadającego. Zamilkł na chwilę, a potem zaczął nanowo:

»Przyjechaliśmy tutaj. Wszystko ją zachwycało. Życie nasze było najpiękniejszą sielanką. Gdyśmy wieczorami tam u owego starego dębu — na jej ulubioném miejscu — siadywali, brała mię tysiąckrotnie z wyrazem najtkliwszej wdzięczności za rękę, i przyciskała ją do ust, mówiąc, że ja najszczęśliwszą istotą w świecie uczynił. Po roku powiada mi córkę. Nie mogliśmy już być szczęśliwsiymi!«

»I taż Adelaida, ta piękna, ukształcona, cnotliwa Adelaida — uciekła odemnie w pół roku po urodzeniu się córki, u-

ciekła z moim francuzkim kamerdynerem. Był to — « dodał lord T. z gorzkim, okropnym śmiechem — »był to brzydki, wymokły, krzywonogi człowiek, lecz grał wybornie na gitarze i czytał dobrze na głos francuzkie romansy! — Jeszcze dniem przed jej ucieczką, siedzieliśmy pod owym dębem, a ja, głupiec, marzyłem o naszym wspólném szczęściu.«

»Chciałem ich dognać i zabić — « ciągnął lord z wymuszoną spokojnością dalsze opowiadanie — »ale zachorowałem śmiertelnie. Przeżyłem pół roku w nieprzytomności. Po wyzdrowieniu powiedziałem sobie, że nie jest warta, abym się miał mścić na niej. W końcu, tak mi wszystko obrzydło, tak mi wszystko wygasło, wymarło, oziębło w piersi, że poznałem, iż to całe życie ludzkie, bądź to w dobrém, bądź w złém znaczeniu, jest śmieszną, błazeńską krotoczwilą, i że w końcu nie warto nawet trudzić się nabiciem pistoletu, aby komuś innemu lub sobie wleń wypalić.

»Och, gdybyście o tym okropnym stanie wewnętrznego zamarcia, wyobrażenie mieć mogli! Jest to boleść nad wszelkie boleści, śmierć wszelkich śmierci! Uczucie rozkrwawiania dawno zasklepionych ran, jest to prawdziwą rozkoszą w porównaniu z tym stanem wewnętrznego śmiertci! Do tego uczucia doszedłem wreszcie. Doszedłem do tego, iż przypatrywanie się temu miejscu, gdzie na pozór tak szczęśliwym, a w rzeczy tak niewymownie nędznym byłem, ulgą mi się zdawało. Widok tego miejsca, przypominał mi nieustannie mój raj utracony, lecz strzegł mię także, iż obudzającemu się niekiedy uczuciu ludzkości, uwieść się nie dałem, iż nigdy więcej w serce ludzkie nie uwierzyłem. — Widzisz więc — « zakończył lord T. z chrypliwym, bolesnym śmiechem — »iż to zaczarowane miejsce, stało się częścią mojej istoty, i że słuszna jest, aby nawet po śmierci moje zagasłe oko ku téj stronie zwrócone było, póki ja, i ten dom, i ów dąb, w proch się nie rozsypiemy.«

»Lecz nie będzie to przykrym widokiem dla pańskiej córki, spotykać co chwila

ła trupa swego ojca u okna?» zapytał spokojnie adwokat.

»Moja córka pójdzie niebawem za mąż—« odrzekł lord zimno—. »Wydaję ją za mego sąsiada Burnes. Będzie w majątności mężowskię mieszkała, a ten zamek zostanie próżny i pusty aż póki się nie zawali. Nie będę tu nikomu naprzykrzał się; będę sobie tu cicho, spokojnie mieszkał.»

»Za pozwoleniem, milordzie —« ozwał się pan Reid po niejakim namyśle—. »Ale czy wieź pańska córka, że ma za pana Burnes iść za mąż?»

»Nie, jeszcze nie wie—« odpowiedział lord obojętnie — »lecz dziś jeszcze jęj to oznajmię.«

»Pan Burnes nie jest już młody, ani przystojny—« zagadł adwokat z wyrazem powątpiewania.

»Ona nikogo innego nie zna—« przejął lord szybko.

»Przytęm o panu Burnes nie najlepiej mówia—« dodał adwokat.

»Więm ja o tęm—« odrzekł lord z niechęcią—. »Lecz to mnie wcale nie zraża. Ludzie dobrej sławy nie są ani o włos lepsi, tylko rozsądniejsi od innych. Moja żona miała aż do chwili uciezki najlepszą sławę. Zresztą pójdzie Klotylda tak dobrze za Burnesa, jak za każdego innego, kogobym jęj przeznaczył. Jest ona jeszcze w każdej mierze prawdziwým dzieckiem. Dusza jęj spi jeszcze, tylko kwiatki ją bawia, i mocno się też wystrzegałem, aby ani naukę, ani częmkolwiek innęm przedwczęśnie uczuć jęj nie obudzać. To też jako prawdziwe dziecko wstąpi w zawód małżeński, i nie będzie ani przyjemności ani goryczy zwykłego ukształcenia lub przekształcenia znała.«

Jurysta pochwał węgłpliwie głową, lecz widząc lorda stałe w swoim zamyśle utwierdzonym, nie chciał mu się sprzeciwiać, i ułożył w milczeniu ostatnie rozporządzenie lorda, aż do podpisania nazwiska.

Wszakże bywa to aż nazbyt powszednią rzeczą, iż podczas kiedy ludzie najrozsądniej swoje bądźto pięrwsze bądź ostatnie rozporządzenia układają, i obliczy-

wszy wszystkie przypadki, niewzruszoną na pozór budowę planów swoich wznoszą, tymczasem złośliwe fatum podług swego własnego widzimisie, odmiennie wcale wszystkie okoliczności połączy, i bynajmniej nieprzewidzianym sposobem mozoły naszej głowy zniweczy, i zagadkę przyszłości rozwiąże. Tak też stało się z planem wychowania Klotyldy.

Gdy lord dla zadowolenia swojej córki oranżeryję i ogród kwietny na nowo chciał urządzić, zlecił on swemu adwokatowi, aby mu jakiego odpowiedniego ogrodnika ze stolicy sprowadził. Zaczny pan Reid, obeznany lepiej ze wszystkimi prawnymi szpargałami starych i nowych czasów niż z botaniką i ogrodnictwem, udał się w tym względzie do jednego z najzawołanszych »artystów ogrodniczych« w Londynie, i zawarł z nim kontrakt *in optima forma*, na mocy którego rzeczony artysta zobowiązał się za takie i takie emolumenta, na ten i na ten dzień, zdolne indywiduum, do służby ogrodniczej, na dwór lorda przystawić. Dowiedziawszy się, iż wszelkie warunki kontraktu dopełnione zostały, a żądany ogrodnik rzeczywiście służbę już zaczął, mniemał zaczny pełnomocnik lorda, iż jak najświetniej z otrzymanego wywiązał się zlecenia, i nie troszczył się więcej o owe przystawione indywiduum, które sobie zawsze w postaci poważnego starca o siwych włosach, w zielonęj kurtce, z wielkimi wręku nożycami w myśli przedstawiał.

A że lord T. dawno już z pokoju nie wychodził, a stara klucznica i nadzorczeni Klotyldy wpoł głuchą, ciemną, i wcale już nieciekawą osobą była, przeto dzielali oni także obojętność pana Reid względem nowego przybysza, którego ojciec Klotyldy ani na oczy nie widział. Tak nie było nikogo, coby się ogrodnikiem zajmował, oprócz samej Klotyldy, a ta dopełniła istotnie najpilniej tego przypadkowo na nią spadłego obowiązku. I nie można się było nawet dziwić, iż go z przyjemnością dopełniała.

Nowy ogrodnik lorda, imieniem William Todd, był jedynym synem światłego

i czciwego lecz nader ubożego kapłana w Lancastershire. Ojciec młodego Williama był namiętnym miłośnikiem i znawcą botaniki, a postrzegając teżsame skłonności w synie, oddał go na naukę do pewnego znajomego ogrodnika, który chłopca na mistrza w swęj sztuce wydoskonalic przyrzekł. Jakoż dotrzymał słowa, a William, przywiązany całą duszą do drzew i kwiatów, został w rzeczy samej mistrzem w swoim zawodzie. Lecz nie było to jedyną zaletą dwudziestocztero-letniego młodzieńca. Nim jeszcze ogrodnictwu się oddał, otrzymał od swego ojca staranne, naukowe wychowanie. Rozumiał z gruntu matematykę, znał starożytne języki, mówił płynnie po francuzku, co też do jego zamysłu udania się na stały ład, koniecznie potrzebnem było. Również i powierzchowność młodzieńca była niezwykła i zajmująca. Ciemne, błyszczące oko, nos orli, małe kształtne usta, krucze w długich kędziarach spadające włosy, znamionowały w nim raczej potomka południowej Italii, niż chłodnej i mglistej Anglii. Temuż południowemu wyrazowi fizjonomii odpowiadała także osobliwsza żywość wszystkich jego ruchów i rysów, która jego lica nieustannem zwierciadłem najwnętrznich poruszeń serca czyniła. Stary nauczyciel Williama zdawał się być bardzo przywiązanym do swego ucznia. W liście polecającym go adwokatowi Reid, nazwał go „w każdym względzie prawym, obyczajnym, ukształconym młodzieńcem,” któremu by chyba to jedno zarzucić można, iż ma „przesadzone wyobrażenie o honorze, i łatwo się unosi, jeżeli ktoś nieprzyjemnie tej słabej strony się dotknie.”

Skoro tylko William w służbę lorda wstąpił, przybrały dawne szczątki ogrodu w nadzwyczaj krótkim czasie nową piękniejszą postać. Położenie miejsca było bardzo powabne i do upiększenia przydatne. Sama opustoszałość dworu, a zwłaszcza stare klasztorne ruiny, były dla ogrodnika-artysty środkami utworzenia prawdziwie pięknego dzieła swęj sztuki. Przytęm miał tyle robotników, ile sam żądał, a zatem sła praca sporo, i tak oranżeryja jak ogrodowe kłaby ożywiły się corychle nowem stworzeniem kwiatów, drzew, roślin. Nie było wprawdzie nadziei, aby mnogie oczy cudze widokiem tych piękności się radowały, lecz byłoto pierwszém większém dziełem Williama, a ztąd też chciał on włac całą swoję duszę w to dzieło. I nie zbywało nawet zupełnie na oczach, któreby jego utwór podziwiać mogły, nie zbywało na duszy, któraby się umiała w nim rozmikować. Była tam Klotylda, która z równym udziałem nad odnowieniem ogrodu czuwała. Widywał ją William prawie codziennie, a chociaż ona zrazu bardzo trwożną i nieśmiałą się okazywała, on zaś z przynależnem dla niej uszanowaniem z nią się obchodził, nie podobna było przecież, aby ciągle widywanie się z sobą, ciągle wspólne

zajęcie się tymże samym przedmiotem, nie były wkońcu pewnej niewinnej swobody zachowania się pomiędzy obojgiem młodych ludzi wywołały.

Klotylda, nie obeznana wcale z przyjętymi przepisami i przesadami świata, nie ukształcona ani też nie zepsuta wychowaniem, nie strzeżona przez nikogo, ani sobie myśleć nie mogła, aby rozmawiając i bawiac się swobodnie z młodym Williamem, jak z równym sobie towarzyszem, przeciw przyzwyczajeniom wielkiego świata grzeszyła. Nie była ona nigdy w towarzystwie młodych ludzi wyższego stanu, lecz nawet i w takim razie byłby William na porównaniu nie stracił, gdyż pominąwszy nawet wyższość, jaką mu prawdziwie artystowska znajomość jego sztuki nad innymi nicieznaczącymi ludźmi nadawała, nie ustępował on także co do reszty towarzyskich przymiotów i talentów żadnemu najogładniejszemu *gentlemanowi*. Z tą samą też znajomością świata postrzegł się William wkrótce na zaniedbanem wychowaniu Klotyldy, a chociaż nigdy przeto należnych jej względów nie przepominał, przecież wszelkich owych wymuszonych formalności, których ona nawet pojąć nie była w stanie, nieznacznie zaniechał, i cały swój sposób zachowania się bardziej do jej swobodnego, naturalnego trybu zastosował. Tak widując się codziennie i w każdej chwili, kiedy tylko sami tego pragnęli, przez nikogo nie ostrzegani, stawali się oboje młodzi ludzie coraz bardziej do siebie przyzwyczajeni, przywiązani, i od dnia do dnia poufalsi ze sobą. Klotylda nie widziała dotąd żadnego prawie młodego mężczyzny; ujrzawszy teraz Williama, mającego wszystkie zalety, jakie umysł młodej dziewczyny zająć mogą, mniemała widziéć w nim ów ideał, który acz ciemno i w niewyraźnych zarysach, przecież ponętnie i uroczu w jej marzeniach się pojawiał. Widząc ją tak mało w światowej sztuce pokrywania swych uczuć biegłą, nie mógł William nie poznać, iż okazywana mu przez Klotyldę życzliwość, nie z samego tylko zamiłowania kwiatów pochodziła; dlatego zaczął i on mimowolnie tēm większą przyjemność w jej towarzystwie znajdować, tēm bardziej jej dziecinną, swobodną niewinność cenić, i tēm tkliwszém ku niej nakłaniać się spótczuciem. Lecz to trwało tylko tak długo, aż dopokąd sam w sobie o coraz bardziej wzmagającém się przywiązaniu do Klotyldy się nie przekonał i za razem nie przestraszył. Zanadto rozsądny, aby w niedorzeczne miłostki z córką swego pana się wdawać, rozpoznał jasno stan rzeczy, i przedsięwziął sobie wszelkich na przyszłość przez samę Klotyldę rozpoczętych pogadanek unikać, i nigdy o niczém inném jak tylko o przedmiotach swego obowiązku z nią nie mówić.

Byłoto w dzień po ułożeniu owego testamentu lorda przez pana Reid. William nie widział był je-

szcze dziś Klotylda i przechadzał się niespokojny po oranżeryi, zganiając muchy z jakiegoś zagranicznego kwiatu, którego dziwnie ukształtocy kielich właśnie miał się rozwinać. Nagle przemknęło coś białego poprzód oknami oranżeryi, a w téjże samej chwili stanęła Klotylda we drzwiach.

„Czekam na panią!” rzekł William, gdy Klotylda z zwyczajną sobie żywością, lecz oraz z pewnym niezwykłym wyrazem pośpepnęj zadumy w twarzy, rękę na powitanie mu podała. — „Nasza *Dionaea muscipula* jest właśnie na rozkwitnieniu. Nie mogłem sobie tu dać rady z muchami, które do niej się cisną. Lecz teraz nie będę ich odganiał, a ujrzysz pani, że skoro która mucha w kielichu dionei usiedzie, cały kielich w oka mgnieniu się zamknie, i nie prędzej znów się otworzy, aż póki mucha wewnątrz nie zginie.”

Klotylda przystąpiła do kwiatu, a co William zapowiedział, niebawem się stało. Lecz jakkolwiek podobne zjawiska Klotyldę zazwyczaj żywo obchodziły, dziś zdała się ona być małomowną, rozlatagnioną, jakgdyby jakieś przykre myśli ją dręczyły. Nagle zapatrzyła się w zamknięty kielich kwiatu i zarumieniona rzekła żywo: „Ta dionea, panie Williamie, jestto okrutny kwiat! Och, cóż za męczarnia, być tak więzioną!”

Zaledwie to wymówiła, załaty ją łzy rześiste.

„Przez Boga! Cóż pani jest?” zawołał William.

„Pójdź ze mną, panie Williamie;” — ozwała się Klotylda po chwili — „pójdź pan ze mną do parku. Opowiem panu wszystko. Muszę panu powiedzieć!” dodała gwałtowniej. „Muszę czyjejs rady zasięgnąć! Ach, ja nie mam nikogo na tym świecie...”

Tu zamilkła, i zakrywszy sobie twarz chustką, wyszła śpieszno naprzód do parku.

Mimowolnie udał się William za nią. Uzbrajając się w wszelką stałość umysłu, zamierzył w tak drażliwym położeniu, najszybszą iskrę uczucia słuchić i tylko głosu rozumu słuchać. Długi czas szli oboje razem z sobą w milczeniu. Wreszcie ozwała się Klotylda:

„Wiész pan, iż mam wielkie — bardzo wielkie w nim zaufanie. Jesteś pan światłym, rozsądnym, a co więcej, jesteś także dobrym. Ja zaś, biedna, niedoświadczona dziewczyna, nie mam nikogo, któryby mógł mi poradzić...”

„Pozwolisz pani,” — przerwał jej William — „iż cię zrobię uważną na tego, który przedewszystkiemi doradcą twoim być winien: masz pani ojca”

„Słusznie mówisz, Williamie;” — odpowiedziała — „o jakże chętnie szałabym za każdym jego rozkazem! lecz w tym razie nie mogę.”

„Mamże więc o rozkazie ojca pani wyrok mój dawać?” zapytał William zdziwiony. — „Tego czynić

mi nie przystoi; jestem sługą twego ojca, a zatem muszę wnosić, iż jego rozkazy jedynie do twego dobra zmierzają...”

„Ach, tak jest, wiem ja, że mój ojciec dobrze mi życzy;” — przejęła żywo Klotylda — „a przecież...”

„Gdyby nawet moje własne zdanie z jego rozkazami się nie zgadzało, nie mogę pani innę dać rady, jak tylko ażebyś słuchała tych rozkazów.”

„Dobrze więc!” zawołała Klotylda z mocnym postanowieniem. „Powtórz mi pan jeszcze raz téż samę radę, gdy mu powiem, że mój ojciec chce mimowolnie nieskończenie nieszczęśliwą mię uczynić, że mię zmusza iść za mąż za człowieka, od którego zawsze wstręt miałam, a którego dziś nienawidzę.”

„I któż to jest ten człowiek?” zawołał William z mimowolnym przestrawieniem. „Przecież nie...”

„Jestto Thomas Burnes!” rzekła Klotylda z pośpiechem, a po chwili w namietném wżruszeniu dodała: „Nie — nie! Wszystko uczynię, lecz tego nie! Byłabym to może dawniej — uczyniła, lecz teraz, nie, przeniędy! Wolę raczej zginąć, niż być tak nieszczęśliwą.”

„A przecież,” — ozwał się William z cicha, przejęty mocno jej bolem i swemi własnymi uczuciami — „a przecież jestto ojciec pani, pragnie on dobra twego, i należy go słuchać.”

„I pańże mi to radzisz — pan, Williamie?” rzekła Klotylda westchnąwszy, i spoziérając niewymownie smutnym wzrokiem na młodzieńca.

„Ach, wierzaj pani,” — odpowiedział William drżącym głosem — „serce mi pęka, dawać ci taką radę, lecz sądzę, iżbym popełnił zbrodnię, gdybym inaczej sobie postąpił. Być może, iż to, co teraz pani przykrém, niepodobném do zniesienia się zdaje, z czasem w inném świetle się przedstawi. Zresztą pomnij pani, ileto małżeństw bez poprzedniej skłonności, jedynie z zimnego rozmysłu się zawiązują, które późnij...”

„I pańże tak do mnie przemawiać możesz?” powtórzyła boleśnie Klotylda. „Nie maszże żadnej innęj dla mnie rady?”

„Żadnej, pani;” — rzekł William stało — „żadnej, jeżeli z drogi prawości zboczyć nie chcę. Gdybyś pani jakiego odpowiedniego swojemu stopniowi mężczyźnę kochała, radziłbym pani pójść do ojca i odkryć mu swoją miłość. Chociażby on nawet na ten związek zezwolił nie chciał, nie-mógłby cię przecież do zawierania niemitych ślubów zmuszać i pozwoliłby ci czasu do namysłu...”

„Sądzi-szże pan, iżby mój ojciec to uczynił?” zapytała Klotylda nieco spokojniej.

„Nie wątpię wcale;” — odpowiedział młodzieniec — „serce ojcowskie umiéd pobłagać. Zdarza się nieraz, iż ono życzeniom swego dziecięcia oprzec się musi, lecz w niniejszym razie nie zechce narazić szczęścia całego życia twego, pani.”

Klotylda szła jakiś czas w młczeniu obok Williama, a potem rzekła łagodnie:

»Dziękuję panu. Obudziliście pan tu niechcący myśl we mnie, która może przynajmniej do czasu, ulgę przynieść mi zdofa, a — kto na czasie zyska, zyskał wszystko, jak mawia sir Nicholas Reid, gdy mu ojciec zhytnął jego powolność w prowadzeniu procesów wyzruca.«

Te ostatnie słowa miały całej rozmowie weselszego obrotu nadać; wszakże po wymuszonym tonie, z jakim Klotylda je wymówiła, można było bardzo łatwo poznać, iż one nie pochodziły jej z serca. Jednakże William wolniej odetchnął. Lękał się co chwila, aby nie przyszło do wynurzenia wzajemnych uczuć, któreby ich oboje w nieprzebyty labirynt było wtrąciło. Po raz pierwszy więc rad był, gdy się przechadzka skończyła, a chociaż wyznanie Klotyldy tém sroższą zadawało mu boleść, im bardziej on jeszcze w ostatnich czasach do tej szlachetnej dziewczyny się przywiązał, musiał sobie przecież powiedzieć, iż tylko przy takim postępowaniu, jakie on teraz zachował, można było ocalić sumienie i spokojność. Zarazem powziął mocne postanowienie, po upływie wyznaczonych terminem trzech miesięcy, opuścić tę służbę, która mu nic do życzenia nie pozostawiała, i w której on dotąd niewymownie był szczęśliwym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego T. W. Kochańskiego* wyszedł nr. 45ty i zawiera: 1) O siejbie siewnikiem i miotem. 2) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 3) O tegorocznych zbiorach u nas. 4) Wiadomości handlowe.

»Słowo o koniach — przez Członka Towarzystwa Wyścigów horseckich; — poświęcone Maurycemu hrabi Polackiemu przez przyjaciela. Lwów 1846, u Jana Milkowskiego. — Pod tym tytułem wyszło właśnie pismo nakładem Autora (Leona hrabi Rzewuskiego). Głównym celem tej rozprawy jest: wskazać drogę, którą u nas w produkcji koni i w uszlachetnianiu ich ras, nie dla częściej rozrywki, lecz dla rzeczywistego pożytku używać się powinniśmy. W pierwszym rozdziale »O krwi w koniach w ogóle« daje nam Autor jasne wyobrażenie co znaczy krew, rozróżnia konie w tej mierze na wierzchowe i pociągowe, opisuje cechę obu tych klas. Te dwie krwie i krzyżowanie ich, są przedmiotem roztrząsań w dalszych rozdziałach, i tak: w następnym rozdziale »O czystej krwi« uczy nas dokładnie: co jest czysta krew wschodnia (w Arabii), a co czysta krew europejska (w Anglii), i rozwiązuje to pytanie: czy dla naszego szczególnie chowu, lepiej ogierzy, czyli też klacze z Anglii sprowadzać, wskazując przytem, jak w następstwie czasu przysięść do tego, abyśmy utwarzając stadynę ze sprowadzonej czystej krwi angielskiej, własną krajorodną krew, czyli gniazdo koni czystej rasy krajowej mieć mogli. W trzech ostatnich rozdziałach: »O krwi koni wierzchowych, pociagowych i pojazdowych« znajdujemy dokładne wytknięcie cech i własności koni każdej z tych krwi, ze względu na produkcję i dobrze zrozumiane potrzeby naszego kraju. Mówiąc o krwi koni pociagowych (roboczych), zwraca Autor szczególniejszą uwagę na nasz kraj, nie radzi przechodzić do ras dla innych jak u nas stosunków przydatnych, np. takich, jakie są w Anglii, gdyż stan dróg, skład roli i stopień gospo-

darstwa powinny w tém służyć za skazówkę, użyteczność bowiem tych koni zaadto zawisła od stosunków miejscowych. Nie możemy się wstrzymać od dośłownego przytoczenia w tej mierze następującego ustępu: »Widzimy że u nas bez wielkiej nauki, popularny vinstykt to poznał, zapatrując się na konie chłopskie i na wozy chłopskie. Konie krajowe mają wiele krwi, uprawdzie zaniebdunęj, złe żywionej, gorzej hodowanęj, ale jest w tych koniach skarb ukryty, którego, daj Boże, żeby przez mądre poprawki nie zniszczono. Zapewne ani wóz, ani uprzęż, ani konie chłopskie nie są godne podziwienia, woddzielając ogół od stosunkow które był ich wywołały, ale w tych stosunkach są one dobre, są użyteczne. Trzebaaby najprzód zmienić stosunki w których chłopi żyją, podziłać pracy zaprowadzić, żeby nie temi samemi końmi vorać, drwa wozić, wódkę i zboże odstawiac, branować w forszpany odbywać, to jest: i prędkością i mocą kolejno wdziałać. Trzebaaby mieć drogi twarde, trzebaby lepszego wutrzymania. Polepszenia krwi nie ma co życzyć, konie mają krwi dosyć, — a pomnożeniu mocy nie ma co radzić w poty, paki lekkość zostaje koniecznym przymietem przy te-rważniejszych drogach. U nas więc co do rasy koni pociągowych do użycia krajowego, tylko w sobie pracować powinniśmy. Dobierać ogierów i kobył bez wad, stojące mieć w dobre, pokarm dostateczny, hodowanie rozsądne, i t. d. w t. d.« — Wykład jasny, rozumowanie przekonywające, praktyczność i przebijająca się wszędzie dążność naprowadzenia ziomków zdrową radą na dobrą drogę, oto są przymioly którymi się ta rozprawa odznacza.

S. K.

Statystyka wyznań. W całym świecie jest teraz 245 do 255 milionów Chrześcijan, pomiędzy tymi: 130 milionów katolików, 69 milionów protestantów i 55 milionów Greków szymatycznych; Izraelitów 4 do 5 milionów; Mohametanów 100 do 120 milionów; wreszcie wyznawców bramaizmu, budaizmu i lamazizmu około 400 milionów.

Pompeji w r. 1845 ym. Już 75 lat upłynęło od czasu, jak odkryto pierwsze ślady drżemącego pod lawą miasta Pompeji, można jednak przypuścić iż od czasu ostatniej katastrofy, jaka to miasto przed 18tą wieki spotkała, a może nawet od jego założenia, nie było światlejszego zgromadzenia w tamecznych murach nad to, które tam dnia 2go października b. r. się zgromadziło. 1700 członków kongresu uczonych, zebranego obecnie w Neapolu, napełniało w tym dniu bazylikę, forum, świątynie miasta Pompeji, i przechadzało się w cieniu jego kolumnad i murów. Minister spraw wewnętrznych, celem zjednanja uczonym szczególniej przyjemności, kazał w godzinę po ich przybyciu przystąpić znacznej liczbie robotników do kopania w tym starożytnym grodzie. O 11 przed południem, gdy wszyscy obecni na ulicy Fortuny się znajdowali, rozpoczęto robotę. Niezadługo odkopano małą fontannę, na której wznosiła się ogromna tafla marmurowa, spoczywająca na 4ch lwich łapach. Piersień spizowy, rury i spusty przekonały wnet widzów, iż to była jedna z publicznych studziń. W pobliżu znalaziono zwłoki niewiasty, którą potok lawy ogarwał w chwili, gdy przed 1800 laty wodę dźbanem czerpała. O kilka kroków dalej odkopano róg domu, który zdawał się należeć do zamoznego właściciela. Znajdowały się tam różne naczynia miedziane w kształcie naczyń używanych do smażenia konflur, dwa małe trójnogi, dno większego spizowego naczynia, kilka naczyń których antaby wyobrażały małych jennijuszów z skurczonemi nóżkami i wystającymi w górę

rękoma, kilka szklanych puhałów, oraz znaczną liczbę naczyń glinianych i kociołków, z czego wnosić można, iż w tej części budynku była niegdyś kuchnia albo spiżarnia. Na uboczu leżała jeszcze kupka zardzewiałych pieniędzy, które szafarz przypadkiem tam położył. Całe zgromadzenie wróciło przejęte podziwieniem na widok znikomości wszystkiego, co jest ziemią.

Filologowie. Baron v. Svieten, syn słynnego lekarza nadwornego, który namiętnym języka greckiego był miłośnikiem, otrzymał od swego ojca zlecenie, aby tylko po grecku z nim korespondował. Jednego razu potrzebował młody baron pieniędzy i napisał bardzo piękny list w greckim języku do ojca, w którym między innymi donosił, iż winiem jest honorarium miesięczne za lekcje jeźdźdzenia na koniu. Zdarzyło się przypadkiem, iż ojciec w czasie odebrania listu, właśnie przeglądaniem rękopismu pisarza greckiego Teodoretę się zajmował, któryto rękopis nadesłany mu był przez sławnego holenderskiego filologa Meermana, trudniącego się wówczas wydaniem swego dzieła *»Novus thesaurus juris civilis et canonici.«* Rozziargniony lekarz-filolog zostawił przez zapomnienie grecki list swego syna w rękopisie Meermana, i odesłał go tak nazad przyjacielowi. Ten znalazłszy w swoim rękopisie staranny odpis jakiegoś greckiego listu, mniemał iż to jest oryginalny fragment Teodoretę i wydrukował go też sumiennie pod tym napisem w swoim *Novus thesaurus*, gdzie go wszyscy odczytać mogą. Na dodatek znajduje się jeszcze uczony komentarz, w którym wielki filolog najgruntowniej z owego listu dowodzi, iż już za czasów Teodoretę lekcje w sztuce jeźdźdzenia na koniu brano.

Szlachetne zdanie. Dzieńnik *»France«* opowiada następującą anegdotę o pułkowniku Montaignac, komendancie twierdzy Dzema el Ghasawat, który niedawno zdradziecko w Algeryi zginął. W roku 1839 był Montaignac kapitanem w Paryżu, i odznaczył się przy uśmierzeniu ówczesnych rozruchów majowych. Na odbytej po tym wypadku wielkiej musztrze wojskowej, miał on zało krzyż legijonowy otrzymać. Gdy jednak przywołanym został, i przed królem wystąpił, nie chciał przyjąć ofiarowanego mu krzyża, mówiąc: *»Nie zasłużyłem na to.«* — *»Kapitanie,«* powtórzył Ludwik Filip, *»król Francuzów daje ci krzyż legii honorowej.«* — *»Zajedno, sire,«* odrzekł kapitan, *»Montaignac zwraca go królowi.«* — Ten wypadek sprawił wielkie wrażenie w wojsku a Montaignac musiał się przed ministrem wojny z tego tłumaczyć. *»Panie ministrze,«* rzekł wtedy, *»gdym ten krzyż w boju z zagranicznym nieprzyjacielem był zasłużył, byłbym go chętnie przyjął i z chlubą na pierścionku nosił. W tym razie nczyniłem surową powinność, i zawsze ją pełnić będę, jednakże sądzę, iż w wojnie domowej, nie godzi się ani rozdać ani przyjmować orderów.«*

Po latach piętnastu. Z Paryża donoszą: Tęmi dniami ma się odbyć licytacja kosztownych mebli Lafitte. Spór o dziedzictwo i likwidacja masy, stały się powodem tego smutnego widowiska. Cóż za ogromna zmiana po latach piętnastu! Na licytacji publicznej — owe fotele, w których deputowani lipcowi w chwili najsroźszego boju powstania zasiadali, rozprawiając nad przyszłymi losami Francji! — na licyta-

cyi publicznej — stolik, na którym Lafitte do ówczesnego księcia orleańskiego pisał: *»Strzeż się mości księżę siedeł z St. Cloud.«* — Nie jestżeto, jakby cała rewolucja lipcowa, podobnie staremu gratu, na licytację poszła. *»Kto da więcej? Po raz pierwszy — drugi — i trzeci!«*

Jakim sposobem się stało, że Abd-el-Kader jeszcze żyje. Jeden z najwaleczniejszych oficerów armii algierskiej, syn pewnego deputowanego, znajdował się raz w porywce tuż obok Abd-el-Kadera, i nie natarł na niego. Czynniono mu więc późniejszą zarzut, iż z tak pięknej sposobności nie umiał korzystać. *»Jakże można!«* wymawiali mu przyjaciele. *»Nie miałeś jak kilka kroków do Abd-el-Kadera, i mogłeś go trupem położyć.«* — *»Ba,«* odpowiedział, *»na co mi tego! Byłem podówczas dopiero podoficerem; gdybym był ubił Abd-el-Kadera, byłaby się wojna skończyła, a ja nie byłbym dziś kapitanem.«*

Opinia publiczna ma podług zdania Talleyranda więcej dowcipu niż Wolter, większą władzę niż Napoleon, a większy rozum niż wszyscy ministrowie przeszłych i przyszłych czasów. Ponieważ Talleyrand był nie tylko przedstawicielem opinii publicznej, lecz oraz i ministrem, a zatem miał doświadczenie w tej mierze, przeto można mu też tembardziej wierzyć, im pewniej on przez uważanie podnoszącej się lub upadającej opinii publicznej, temperaturę polityczną zgadywać umiał.

Poczty gołębie między Londynem a Paryżem wchodzą coraz bardziej w używanie. W Dover i Calais, jakoteż w wielu innych francuzkich i angielskich miastach są porządne stacje pocztowe z wielkim utrzymanem kosztem, gdzie przybywające z listkami gołębie, szybko i regularnie, jak gdzieindziej konie pocztowe, odmieniane bywają. W nocy, lub w razie innej przypadkowej przeszkody, wysyłają konnych knryjerów, którzy swoje depesze na najbliższej gołębiej stacji oddają, zkąd one przywiązane u szyjki kilku z owych zawsze w pogotowiu trzymanych skrzydlatych gońców, dalej ulatują. W ten sposób odbywa się podróż z Londynu do Paryża, i odwrotnie, w przeciągu 8 godzin! Przekonano się iż jastrzębie tym poczytliwom gołębim wielce są niebezpieczni. Zład płacą przedsiębiorcy na każdej stacji po pół talara nagrody od głowy zabitego jastrzębia. Dozorca gołębi pobiera około 2000 zł. p. rocznie płacy. Te nagrody, płace, jakoteż koszta wyżywienia gołębi, czynią razem dość wielką sumę. Dobry gołąb pocztowy nie jest zwykłe dłużej nad dwa lata do służby zdany.

Tytoni algierski. Rząd francuzki wysłał urzędnika od administracji tytoniowej, p. Lebecu, do Algeryi, w celu jaknajwiększego rozszerzenia tamtejszej uprawy tytoniu i zdania sprawy o jego dobroci i użyteczności. Sprawozdanie p. Lebecu wypadło bardzo pomysłnie dla algierskiego tytoniu; sprawozdawca sądzi, iż w przeciągu lat dziesięciu Algeryja dla całej Francji będzie mogła wyborowego tytoniu dostarczać.

»Gdzie mieszkasz?« spytał rewizor policyjny pewnego pijaka, włoścącego się z podobnym sobie towarzyszem po ulicach. — *»Ja nigdzie nie mieszkam;«* odparł pijany. — *»A ty gdzie?«* spytał rewizor drugiego włoścęgi. — *»Ja mieszkam naprzeciw mojego kolegi.«*